

Ballada o drzewie **(Excerpt in Polish)**

Translated by: Nikodem Szczygłowski

Contact of the translator: carduelis@europe.com

Od tego wieczoru w naszej rodzinie wszystko było inne. Rozmawialiśmy ze sobą. Większość rozmów przy kolacji i innych była o naszych planach przeprowadzki. Tata wysłał już zapytania o nowe oferty pracy, a odpowiedzi na nie omawiał z wielką energią i zapałem, już pierwsze z nich zawierały zaproszenia na rozmowy kwalifikacyjne, był więc pełen optymizmu. Każdego wieczoru mama przedstawiała nam kolejną ofertę mieszkaniową znaną na stronie nieruchomości kropka net. Rozmawialiśmy o naszych możliwościach finansowych i podobało mi się, że Ina i ja mogliśmy również wyrażać swoje opinie. Ale jeśli któraś z nas powiedziała "bez sensu", musiało to być uzasadnione. Co dokładnie jest „bez sensu”? Co ci się nie podoba? Dlaczego? Masz lepszą propozycję?

Tak więc byłam wówczas w takim osobliwym międzystanie podniecenia.

Dalej żyłam tak, jakby nic się nie zmieniło. Ale mogłam przecież żyć inaczej. Nie dotyczyło mnie to już tak bardzo, kiedy koledzy z klasy ryczeli na mnie lub omawiali mnie za moimi plecami.

Wyprostowałam się, nie chodziłam już skulona, patrząc sobie pod nogi spod szkieł okularów. Dostawałam najlepsze oceny, jakie mogłam, aby były dobrym punktem wyjściowym dla nowej szkoły w Lublanie.

Doszło nawet do tego, że tamtej wiosny zdobyłam najbardziej prestiżową nagrodę dla uzdolnionej muzycznie młodzieży w Europie, i w ten sposób przyniosłam sławę mojej szkole muzycznej, a nawet mojej podstawówce. Na koniec roku zostałam uznana za Uczennicę Roku. Otrzymałam nagrodę z rąk burmistrza. I nikomu nie powiedziałam, że przenosimy się do Lublany. Pielęgnowałam tę nową możliwość w sobie, myślałam o niej jako o korzystnym rozwiązaniu wszystkiego. Maja i jej stary swoim ciągłym truciem prawie posiekali mnie na kawałki. Koledzy z klasy zaś nigdy nie mieli dla mnie miłych słów, ani słowa pochwały, ani słowa zachęty, nawet słowa krytyki. Wychowawczynie klasy wypowiedziała na pożegnanie kilka banalnych frazesów, dyrektor szkoły też coś tam dodał. Nie obchodziło mnie to. Chciałam po prostu jak najszybciej wyjechać.

W wielkim skupieniu słuchałam sugestii mojej matki o nowym mieszkaniu. Od początku miałyśmy mieć każda swój własny pokój.

Przez chwilę serce mi ścisnęło – jak ja bym sobie poradziła bez Iny? Kolejna myśl – potrzebuję własnego pokoju natychmiast. Koniecznie muszę się ukryć przed innymi i dowiedzieć się kim jestem, czego chcę od życia.

Przeprowadzka nie była tak łatwa, jak się na początku wydawało, nie poszło to zgodnie z planem. Bo życie nigdy nie jest tak proste, jak byśmy tego chcieli.

Tacie rzeczywiście się upiekło, że dostał pracę w Lublanie, co sprawiło, że więcej jeździł do stolicy, a mama też więcej pracowała.

To było tak, jakby oboje dostali nowe życie. Podobnie jak i ja. Z tą różnicą, że oni oboje o tym wciąż mówili.

Postanowiliśmy wynająć na lato mieszkanie w Lublanie i jednocześnie szukać odpowiedniego miejsca do zamieszkania na stałe. Kiedy już znajdziemy coś odpowiedniego, wówczas sprzedamy nasze mieszkanie w Primorskiej. Na wszelki wypadek rodzice nie wypisali nas ze szkoły. A nóż, jeśli coś się nie uda, powiedzieli. Serce mi ścisnęło. Och, tylko nie to! O, żeby tak wszystko poszło jak należy i żebym we wrześniu poszła do dziewiątej klasy już do nowej szkoły.

W nowym mieście, w nowym otoczeniu, z nowymi ludźmi.

Mieszkanie, które wynajęliśmy na trzy miesiące, od początku lipca do końca września, znajdowało się w dzielnicy Koseze, w jednym z tych specyficznych tarasiastych bloków. Było to dwupokojowe mieszkanie z migoczącymi światłami, ogromnymi fotelami i plastikowymi reprodukcjami na ścianach. W kuchni wokół stołu stały cztery różne krzesła.

Trzy lata później dowiedziałam się, że właśnie wtedy, w sąsiednim bloku bywał chłopak, który zmienił moje życie. Majk. Jako jedyna miałam własny pokój. Ina spała w salonie z rodzicami. Z powodu skrzypiec powiedzieli, że powinnam być sama, żeby móc ćwiczyć. Nie było to rozsądne. Od pierwszych chwil pobytu w Lublanie byłam więc sama. W nocy długo nie mogłam zasnąć, myśląc o tym, jak też to wszystko będzie. Czasami w nocy Ina prześlizgiwała się do mnie i spałyśmy razem przez kilka godzin. Czując obok jej spocone ciało i znajomy

zapach mogłam spokojnie zasnąć. Rano wędrowała z powrotem do salonu, nie budząc nikogo z nas.

Już w drugim tygodniu lipca po raz drugi wybrałam się na wyspę Hvar, tym razem do już potwierzonego nowego nauczyciela, Nikity. Na początku był na mnie ciągle zły. Wszystko robiłam źle. Jak trzymasz ręką? Nie ta, tamta druga, jak wy to nazywacie, prawa. Andante, przecież pisze jest! Jak ciebie uczył twój poprzedni *uczyciel*? Po prostu ćwicz wg. tego zapisu aż do jutra. Byłam jednak już przyzwyczajona do takiego marudzenia, również Vili tak sobie ze mną poczynał.

Oboje byli zupełnie nieszkodliwi ze swoim gderaniem i raczej dobroduszni.

Na Hvarze nie miałam nikogo. Inni lepiej się znali między sobą, spędzali ze sobą czas, spacerowali wzdłuż nabrzeża i wspólnie chodzili się kąpać. Przyznaję, że popełniłam błąd. Kiedy po raz pierwszy zaprosili mnie ze sobą, wymigałam się wymówką, że muszę dużo pracować. Za drugim razem powiedziałam, że dołączę do nich, ale nie poszłam. Za trzecim razem już mnie nie zaprosili. Potem zostałam sama.

Czułam na sobie ich szydercze spojrzenia, czułam jak mnie omawiają za plecami. Ale to była moja własna wina, mimo że w tamtym czasie nie chciałam się do tego przyznać. Wszystkiemu winien był diabeł, który siedział we mnie, zwany strachem. Aby nie czuć rozgoryczenia, musiałam już na samym początku zamknąć się we własnej ciemności. Drzewo wyciągnęło do mnie swoje gałęzie i ukryło mnie w sobie, nawet teraz, tak, abym mogła słyszeć świat na zewnątrz, jak jakby wszystko, co się tam dzieje, przydarza się innym, lecz nie mnie. Najważniejsze, że miałam skrzypce. Czasami wydawało mi się, że już nie istnieję, że są tylko skrzypce. Że sama stałam się skrzypcami, które mają przecież tyle do powiedzenia, w całym swoim pięknie i doskonałości, gdyż świat, w którym chciałabym żyć, jest tak doskonały jak harmonia akordów.

Rodzinka mnie informowała, jak im idzie z poszukiwaniami. Albo raczej jak nie idzie. Mieszkania w Lublanie to albo czarne dziury, albo kosmiczne ceny. Czasami w tych poszukiwaniach razem z nimi brał udział Aco, sisotrzeniec taty, architekt. Rzadko zdarzało mu się ocenić jakiegokolwiek mieszkanie na takie, które odpowiadałoby swojej cenie lub ofercie. Ina była na wakacjach u dziadków, podczas gdy mama i tata chodzili oglądać mieszkania. Wieczorami wracali wyczerpani i mieli wszystkiego dość. Bałam się, kiedy jeden czy drugi powie: to wszystko nie ma sensu, zostajemy w Primorskiej.

Cała trójka przyjechała do mnie na Hvar na koncert finałowy. Chociaż myślałam, że nie zgramy się z Nikitą, a inni muzycy obrzucali mnie pogardliwymi spojrzeniami, ostatecznie wystąpiłam jako ostatnia, jako najważniejszy akcent koncertu. Grałam genialnie. Zagrałam *Romanza Andaluza* Pablo de Sarasate, wykonując wściekle zamaszyste ruchy i wkładając w nie całą namiętą siłę indywidualności. W trakcie wykonania wydawało mi się, że skrzypce zapuszczają we mnie korzenie, które przeplatają się z tymi od drzewa. Ja i moje skrzypce. Nie potrzebuję nikogo innego.

Wracaliśmy do domu powoli, pokonując najwyżej dwie godziny drogi dziennie. Każdej nocy spaliśmy w innym kempingu. Nie pytali mnie o nic, a ja nie mówiłam im nic o tym, jak było na wyspie. Zobaczyli mnie na koncercie finałowym i zupełnie im to wystarczało. Ja też ich o nic nie pytałam. Widziałam ich zmęczone oczy, i to wystarczało mi. Chodziłam pływać daleko od brzegu i głośno opowiadałam morzu o swoich życzeniach. Chciałabym zacząć wszystko od nowa. Chciałabym mieć miłych kolegów z klasy. W szkole muzycznej chciałabym mieć dobre towarzystwo. Chciałabym wiedzieć, czego chcę i co potrafię. Chciałabym, żeby było inaczej niż w Primorskiej. W ten oto sposób, konspiracyjnie zwierzałam się falom i wierzyłam w nowy początek.

Uświadamiam sobie, że spontanicznie skręciłam z głównej ulicy w kierunku mojej dawnej szkoły. Podczas gdy nadal marzę o spacerach po nieznanym ścieżkach, ślady prowadzą mnie raz po raz na stare szlaki. Znajome uczucie mdłości, które towarzyszyło moim porannym podróżom do szkoły trzy lata temu, tym razem mnie omija. Dopóki Saba nie przejmie mojej uwagi.

Saba. Wysłałam wiadomość. *Gdzie jesteś? Jestem w centrum. Możemy się spotkać?*

Idę dalej ulicą, myśląc o tych pierwszych jesiennych porankach, tak groteskowo niepasujących do wcześniejszych oczekiwania...

I następnie ta zmiana, której dokonała Saba, gdy już oswoiła ten hieny trop. W kieszeni brzęczy dźwięk otrzymanej wiadomości. *Już od trzech godzin piszę matkę, mam poprawkę. Przyjść później, ok. 11j. Mam nadzieję jeszcze bdziesz w centrum. Zadzwoń do ciebie. C u tam, gdzie zwykle. Sorki.*

Żadne sorki, przecież przyjdiesz, Sabo! Dlaczego jesteś taka wzniosła?

Przyjdzie. Zwagaruje, żeby mnie zobaczyć. Odpisuję jej: *No to git, zadzwoń do mnie, kiedy tu dotrzesz, powodzenia na matmie.*

Szkołę widzę już z daleka. Dzieci już są w środku, nigdzie nikogo nie widać, widocznie zajęcia już się rozpoczęły. Tylko jakaś starsza pani prowadzi chłopca w stronę szkoły. Chłopiec galopuje, jego plecak podskakuje mu na ramionach. Najwyraźniej się spóźni, ale ani on ani ona się tym nie przejmują. Skręcam z dala od szkoły, w kierunku stacji kolejowej. Może uda mi się gdzieś pojechać.

Gdzieś, gdzie nigdy wcześniej nie byłam. W myślach przeliczam pieniądze, które mam w portfelu. Nie za dużo tego, nie dojechałabym nawet do Jesenic, o podróży powrotnej nawet nie wspominając. Chyba, że w pociągu schowam się w WC: na myśl o tym moje usta zwijają się w uśmiechu. To dopiero byłoby naprawdę coś:) Coś nowego, nietypowego dla Ady!

Komóra znowu brzęczy, nowa wiadomość. Podniecam się, gdy widzę imię na wyświetlaczu. Val.

Jestem w budzie a ciebie niema przyszedłem tu z powodu ciebie.

Dzwonię do niego. Odbiera w chwili, kiedy już mam zamiar się rozłączyć.

"Tak?"

"Val, jestem na mieście, w centrum".

"Dlaczego? Masz zajęcia w muzycznej? Czy jesteś u lekarza?"

Och, Val, mój drogi przyjacielu, jak dobrze mnie znasz!

"Nie. Po prostu jestem na mieście. Wagaruję"

Z jaką łatwością przechodzi mi to przez język. Jakbym była do tego przyzwyczajona. Jakby to była oczywista sprawa.

"Przyjdę. Właściwie już idę – decyduje Val po chwili. "Będę tam za jakieś pół godziny. Gdzie będziesz?"

Umawiamy się na spotkanie przy kotwicy¹. Gdy telefon milknie, wciąż obracam w myślach jego głos. To wciąż nie jest prawdziwy Val, ten sprzed lat. Długie, miękkie wokale, drwiąca szybkość odpowiedzi. Żadnego tak dobrze znanego sarkazmu i żartobliwości. Ale mimo wszystko chcę go zobaczyć, usłyszeć, wsłuchać się w jego słowa, porozmawiać z nim. A teraz on przyjdzie.

¹ Charakterystyczna rzeźba w kształcie kotwicy w centrum Lublany (przyp. tłumacza)

Próbuję wejść w myśli Maika w ten poniedziałkowy wieczór. Być może tej nocy wcale nie szedł spać. Kto wie, czy szalał przez całą noc. W jakie otchłanie wpadł. Co miał na myśli z tym swoim ostatnim sms'em.

Jutro w szkole będę przed tobą. ZtM.

Czy była to sarkastyczna, złowroga zapowiedź? Zemsta, gdyż go nie posłuchałam? Czy raczej chwila światła i miłości, faza spokoju przed kolejną falą ciemności? Taki właśnie był, gdy go coś chwyciło.

Potrafił na długo zalec na dno i nie móc się podnieść. Ale potrafił też w jednej chwili zmienić swój punkt widzenia i być zdolnym do transcendencji, do uśmiechu, mieć nowe pomysły, stać się znowu kochającym i optymistycznym.

Te dwie możliwości są diametralnie różne od siebie. Jeśli w swojej wiadomości już knuł zemstę, wówczas jego decyzja przeplatała się z brakiem miłości. Z nienawiścią do mnie. Ale gdyby akurat wtedy zaznał przebłysku spokoju, wówczas pożegnał się ze mną w sposób pełen miłości. Lecz wtedy raczej zapomniał o tym. I w swojej nowej fali cierpienia nie myślał już o mnie.

Nigdy się tego nie dowiem.

W każdym bądź razie rzeczywiście przyszedł do szkoły wcześniej ode mnie.

ZtM. Zawsze twój Majk.

Czuję, że znów wypełnia mnie gniew. Nie chcę się temu poddać.

"On nie myślał wtedy o tobie ani o mnie, Ado" – mówi w końcu Val, bierze kamień i wrzuca go do wody. Tak, jakby czytał w moich myślach. "Nawet o sobie wówczas nie myślał".

"Zbyt mało wiem o Majku" – przyznaję. "Nawet nie wiedziałam, że nosił w sobie myśl o śmierci, mimo że dużo o niej rozmawialiśmy. Chciał o tym mówić, to prawda, interesowało go to. Również o samobójstwach, ale o innych, takich raczej znanych z literatury czy historii. Jakie były metody samobójstwa, dlaczego i jak ktoś kiedyś się zabił. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego tak go to wszystko interesowało. W tym czasie był taki zdenerwowany, zły wręcz na tych, którzy odebrali sobie życie. Prawdopodobnie również z powodu jego ojca. Ja zaś nie mówiłam wiele. Bo ... za mało wiem o samobójstwie".

"Mi również nigdy nie mówił o tym, że chciał kopnąć w kalendarz. Owszem, były debaty o tym, czy jest sens żyć. I dlaczego tak. I że ten świat jest pełen niesprawiedliwości. I że w życiu

trudno jest dokonywać właściwych wyborów. Ale to nie są debaty o tym, czy zakończyć to życie, czy nie. Przecież mimo wszystko nie jest aż tak popierdolone! Raz masz pod górę, raz z górki! No, mówisz czasami, że wszystko jest do dupy i nic, tylko wykitować, ale... nie mówisz przecież tego serio. Aż tu raptem on se weźmie i się kojfnie.

"Na dodatek w taki sam sposób jak jego ojciec... "

"Nie do wiary! Tak, pamiętam jak to było, gdy jego stary popełnił samobójstwo. Był ciężkim typem. Miał jakąś traumę z tamtej wojny w Dalmacji, kiedy go zmusili, całkiem młodego jeszcze kolesia, żeby strzelał do ludzi, nawet do swoich sąsiadów. Kurwa, naprawdę. I tego jego stary chyba nie mógł znieść, więc postanowił wykitować. Majka to totalnie załamało. Byliśmy wtedy w trzeciej klasie. Długo nie chodził do szkoły, po prostu nie mógł. Przynosiłem mu do domu zeszyty, żeby mógł z nich przepisywać i odrabiać zadania domowe. Nie chciał grać, nie chciał rozmawiać. Przez jakiś czas nawet się jąkał. Naprawdę było z nim źle. Do kurwy nędzy, a potem bierze i sam robi to samo!". ..

Słownictwo Vala zawsze uderzało w moje uszy z całą charakterystyczną mu brutalnością. Ale teraz jego słowa dosadnie opisywały całe to gówno, które stało się naszym udziałem i którego teraz doświadczyliśmy. .

Telefon wibruje mi w kieszeni. Patrzę na ekran. Ina. *Nie ma cię w szkole, gdzie jesteś?*

"Sorki, muszę odpisać siostrze".

Na mieście. Mam parę rzeczy do załatwienia, wszystko gra. Rozmawiamy teraz z Valem. Odpowiedź przychodzi już za chwilę. OK. Dbaj o siebie.

Będę, droga siostrzyczko. Od teraz nawet bardziej, bo znów jestem sama.

"Wiesz, co mi się wydaje? Że kompletnie się pogubił. Że nie widział żadnej drogi do przodu przed sobą".

Ta myśl Vala mnie zaskoczyła. I jednocześnie uspokoiła. To takie proste.

Znowu przez dłuższą chwilę milczymy.

Drzwi do sypialni Darji otwierają się, a moje serce zaczyna walić z zakłopotania. Starsza pani wchodzi powoli do kuchni. Babcię Majka wyobrażałam sobie inaczej, jak taką starszą ciotkę, w rodzaju tych, które widywaliśmy w Dalmacji, jak jeździliśmy na morze – były zawsze skulone i ubrane na czarno. Naprzeciw nam wychodzi jednak zadbana pani o siwych włosach,

miętko zaczesanych w kok. Perłowy naszyjnik zdobi jej starczą szyję. Nie jest ubrana na czarno, lecz w pastelową liliową bluzkę i granatowe spodnie.

„Czy to jest Ada?” – pyta po chorwacku, podchodzi bliżej i spogląda na mnie życzliwie. Kiwam głową, wstaję i chcę wyciągnąć do niej rękę, ale ona przytula mnie do siebie i zostaje tak na dłuższą chwilę, tak że czuję odległy zapach lawendy i cytryny.

„Och, moja Ado, cóż to się tobie przydarzyło...” – burmocze dalej po chorwacku i trzyma mnie w uścisku

„No, przecież nam wszystkim” – odpowiadam. „Również pani.” – zaglądam w jej ciemne oczy. Majk z całą pewnością odziedziczył je po babci.

„To prawda, dla każdego z nas jest to naprawdę przerażające. Ale Darja i ty... Wasz ból jest największy. Wiedz jednak – tu bierze mnie za ręce – że dzięki Tobie Majk stał się zupełnie innym człowiekiem. Całkiem inny, świecił jak słońce!”

„Również mnie zmienił” – uśmiecham się gorzko.

„I teraz, wraz z jego odejściem jeszcze bardziej” – przytakuje, a smutek przykrywa jej oczy.

”A ten dom pozostanie pusty, Darjo” – wzdycha do synowej. Tymczasem Darja przygotowała już kolejny talerz gulaszu i postawiła go na stole. Babcia siada przy stole, a ja wracam na swoje miejsce.

"Naprawdę nie wiem, co teraz zrobić" – przyznaje Darja, pozwalając, by jej oczy znów wypełniły się łzami. "Pewnie przez całe dni będę w pracy. Cóż mam...

„Nie trzeba tak, moja droga – babcia przysuwa się do niej bliżej – Świat dalej będzie się kręcił!”

"I co z tego, że świat nadal będzie się kręcił? Nie będę chciała już go oglądać. Nie mam nikogo. Nie ma już dla mnie żadnej radości. Nie chcę już nawet podróżować. I tak w ogóle, kto teraz będzie ze mną podróżował?".

"A kto będzie ze mną?" – słyszę sama siebie. To się po prostu ze mnie wyrwało.

„Tak więc udajcie się gdzieś we dwójkę” – tak zwyczajnie podsumowuje babcia i bierze łyżkę zupy. Darja i ja spoglądamy na siebie. Uśmiechamy się do siebie przez wilgotne oczy. "To prawda" – mówi Darja. "Czy pojechałabyś ze mną? Do Irlandii? Na Madagaskar? I gdzie indziej?"

"Pojechałabym." Jestem zdumiona, jak szybko to powiedziałam. To takie proste. Ktoś cię zaprasza, a ty się zgadzasz, bo jest to osoba ci bliska, godna zaufania i wiesz, że w jej towarzystwie będziesz się dobrze czuć.

„No więc same widzicie, że trzeba do przodu!” – przytakuje babcia – „I przyjedziecie do nas na Brač, razem lub osobno. Moja córka i moja wnuczka. Czegóż chcieć więcej, trzeba żyć!”.

Te słowa brzmią dziwnie. Przecież straciła syna. A teraz jeszcze wnuka. Może właśnie dlatego tak stoicko znosi ból. Spoglądam na zegar na ścianie. Nagle zatęskniłam za zwykłym życiem. Za rytmem, który jest męczący, zbyt szybki, za którym trudno nadążyć, bo ma tyle codziennych czynności. Lekcja się kończy. Zaczyna się popołudnie. Muszę się schować do mojej kryjówki.